

Hrabyk, Klaudiusz

Wspomnienia, część VIII

Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego 12/2, 257-279

1973

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

KLAUDIUSZ HRABYK

WSPOMNIENIA

Kolejny fragment *Wspomnień* obejmuje dalszy ciąg okresu „Kuriera Porannego”, w którym autor po okresie lwowskim jako redaktor polityczny tego warszawskiego dziennika pracował w latach 1937—1939.

Redakcja

Warszawa owych lat (1937—1939) posiadała szeroki wachlarz pism codziennych, wśród których czołowe pozycje zajmowała prasa partyjna — „Narodowy Dziennik Warszawski”, „Robotnik”, nieco później „Dziennik Ludowy”, „Dziennik Powszechny”, który był zresztą dzieckiem „Kuriera Porannego” odprzedanym Związkowi Nauczycielstwa Polskiego. Ukazywał się „Kurier Polski” uchodzący za organ Lewiatana, wychodził konserwatywny „Czas”, katolicki „Mały Dziennik”, wydawany co prawda w Niepokalanowie, ale masowo kolportowany także w Warszawie, szczególnie w zakrystiach kościołów. Osobną pozycję stanowiły pisma popularne, wśród których największe nakłady miała rządowa „prasa czerwona” z trzema wydaniem dziennie: „Express Poranny”, „Dzień Dobry” i „Dobry Wieczór”, a przedtem „Kurier Czerwony”, dalej „Goniec Warszawski” i „Wieczór Warszawski”; wychodziła także pięciogroszowa „Gazeta Codzienna” z placu Dąbrowskiego. Ukazywał się dziennik oenerowców „ABC”, a oprócz tego syjonistyczny „Nasz Przegląd”, nie licząc dzienników żargonowych. Organem rządowym była „Gazeta Polska”, dziennikiem wojska „Polska Zbrojna”. Rynek był więc przesycony kilkunastoma dziennikami i nie należało do zbyt prostych zadań utrzymanie własnej pozycji wśród tej mozaiki, w której prym uzyskały przede wszystkim pisma popularne i brukowe. „Kurier Poranny” nie był pismem popularnym, ale staraliśmy się — zachowując poziom — dostosować go do wymagań i gustów publiczności, a to pochłaniało znaczne środki finansowe. Bazą „Kuriera” była inteligencja miejska, ale wyłącznie na terenie byłego zaboru rosyjskiego. Ani w Galicji, ani w Poznańskim nie był on czytany. Czysto warszawski charakter pisma, związanego od dziesiątek lat ze stolicą, ze swoim symbolicznym „K” w tytule

przedstawiającym biegnącego gazeciarza, ułatwiał „Kurierowi” działalność na terenie Warszawy i innych miast i miasteczek dawnego Królestwa, ale utrudniał ją we Lwowie, w Krakowie lub w Poznaniu.

Z nowym środowiskiem bardzo szybko się zżyłem. Zyskałem wspólny język z zespołem redakcyjnym, jak oceniam z perspektywy, znacznie łatwiej aniżeli Piestrzyński, który przedstawiał typ człowieka chłodnego i mniej bezpośredniego, chociaż bardzo czynnego i przy bliższym poznaniu miłego. Był to wytrawny dziennikarz i poprawny publicysta, spokojny, zrównoważony, ale pozbawiony werwy i dynamizmu, wskutek tego zbyt często nudny i jednostajny, wymierzony, ale solidny, ścisły i systematyczny. Był typem Poznaniaka, chociaż pochodził z Kalisza. W redakcji byłem jego antytezą. Reprezentowałem dynamizm, zachepliwego ducha agresji, pasjonowała mnie polemika z przeciwnikami, rozwijałem znaczną inicjatywę publicystyczną i w dziedzinie politycznej nadawałem „Kurierowi” ton dosyć bojowy. Piestrzyński nie oponował, ale w bardziej skomplikowanych sytuacjach miał zwyczaj wyjeżdżać na krótki urlop, powierzając mi wtedy kierownictwo, aby przeczekać taki lub inny gwałtowniejszy konflikt nanizany w następstwie moich wystąpień na łamach „Kuriera”. Łatwo ulegał wpływom i postronnym inspiracjom, czym się różnił ode mnie, ponieważ z usposobienia byłem oporny i niełatwy. Wyłączną dziedziną Piestrzyńskiego stały się sprawy zagraniczne, które uzgadniał i regulował w porozumieniu z Wolskim, młodym wówczas urzędnikiem MSZ. Ja zajmowałem się zagadnieniami z dziedziny polityki wewnętrznej w najszerszym tego słowa znaczeniu, nie mieszając się do zainteresowań Piestrzyńskiego.

Odbывały się sporadyczne spotkania z Bogusławem Miedzińskim, w których uczestniczyli przedstawiciele prasy rządowej czy raczej ozonej. Skład osobowy tych konferencji, odbywanych w redakcji „Gazety Polskiej” przy Szpitalnej, był niewielki. Dzienników pozostających pod bezpośrednim wpływem Ozonu w całej Polsce było zaledwie siedem: pięć w Warszawie („Gazeta Polska”, „Kurier Poranny” trzy wspomniane dzienniki tzw. „prasy czerwonej”), jeden we Lwowie („Dziennik Polski”) i jeden w Poznaniu („Nowy Kurier”).

Było to bardzo znamienne dla układu sił na rynku prasowym, szczególnie w Warszawie. Prowadząc w „Kurierze Porannym” m. in. przegląd prasy miałem codziennie na biurku 8 do 9 dzienników zdecydowanej opozycji, 3—4 pisma względnie umiarkowane, ale także wyrażające krytyczne stanowisko wobec rządu, i tylko 4 warszawskie pisma rządowe. Do tego dochodziły dzienniki prowincjonalne, wśród których większość stanowiły również organy opozycji. Zwracałem na to często uwagę podczas spotkań u Miedzińskiego, ale odnosiłem wrażenie, że obóz rządowy nie przywiązywał większej wagi do liczebności swoich pism i wystarczał

mu stan istniejący. Nie ułatwiało to propagandy z pozycji polityki rządowej, ponieważ na jedno np. moje wystąpienie w „Kurierze Porannym” odzywał się zgodny chór co najmniej kilkunastu dzienników opozycyjnych w kraju, z którymi nie sposób było odrębnie polemizować lub im się przeciwstawiać. Na tym tle zarzuty, z jakimi występowała prasa, szczególnie lewicowa, że w Polsce panuje faszyzm, stanowiły w dziedzinie prasowej argument bez pokrycia. Nawet bowiem cenzura nie mogła ograniczyć wpływu większości prasy bardzo poczytnej. Lekceważenie prasy jako czynnika propagandy było podobno wśród sanacji odziedziczone po Piłsudskim, który prasy nie lubił lub nie przywiązywał do niej szczególnej wagi. Nic się na tym odcinku nie zmieniło po jego śmierci. Piłsudczycy byli tak zadufani w swoje możliwości i w swój system rządów, że prasę traktowali jako wprawdzie nieodzowny, ale wcale nie najważniejszy instrument polityki i działalności. Tylko niektórzy piłsudczycy zdradzali większe zrozumienie dla tego zagadnienia, ale nie należeli oni do zespołu decydującego w ogólnych dyrektywach. Zasadniczy styl w tej sprawie obowiązywał zarówno przed 1935 r. jak i po nim — aż do wybuchu wojny. Obóz rządowy, posiadając dwa główne organy codzienne w Warszawie i koncern „prasy czerwonej”, zresztą mało angażujący się w sprawy czysto polityczne, szczególnie typu kontrowersyjnego, oraz wspomniane dwa pisma codzienne na prowincji we Lwowie i w Poznaniu, uważał, że problem jest wystarczająco rozwiązany pomimo istnienia potężnego wachlarza prasy opozycyjnej, bardzo ruchliwej i bardzo konsekwentnie podważającej reżym i jego oddziaływanie na społeczeństwo.

Szczególnie bliskie węzły przyjaznych, a w miarę upływu czasu nawet serdecznych stosunków koleżeńskich i osobistych nawiązałem w redakcji ze Stefanem Krukowskim, bratem głośnego „Lopka”, z którym pracowaliśmy w jednym niedużym pokoju. Miałem nieprzerwanie doskonale stosunki z Jerzym Wiewiórskim i z całą gromadą młodszych kolegów, wśród nich z Lachowiczem, Domińskim, Drzewską i Muszyńską, z nieco starszych z Portnerem, Schillerową, ze starszych z Wielopolską i Wąsowiczem. Wspólnie z Piestrzyńskim, Józefem Białasiewiczem i Januszem Makowskim stanowiliśmy zespół jednorodny politycznie, co nie przeszkadzało zadzierzgnięciu przez nas bardzo serdecznych stosunków z pozostałymi kolegami.

W zespole charakterystyczną grupę stanowili synowie chłopscy. Należeli do nich Suszek, Wojciechowski, Orgioels i Falkowski, którzy wspólnie z młodymi członkami redakcji — Lachowiczem, Domińskim, Grzybowskiem, Szydłowskim, Zaleskim i innymi stanowili zgrany zespół nie tylko współpracowników, ale i przyjaciół ożywiających atmosferę redakcji nieustającym humorem, pomysłami różnego typu i swoistym stylem życia. Inną grupą byli średniacy, do których zaliczał się m. in.

Krukowski, Wendel i ja. Znajdowaliśmy bardzo wiele wspólnych cech z młodszymi i łącznie z nimi nadawaliśmy ton redakcji tolerowany życzliwie przez seniorów.

Corocznie 25 kwietnia zbieraliśmy się w mieszkaniu Wiewiórskiego na jego imieniny i spędzaliśmy tam niezapomniane godziny wśród gościnnej atmosfery obojga gospodarzy domu — naszego seniora i jego żony. Uczestniczyła w tych spotkaniach także ich córka Alicja, tragicznie później poległa w czasie Powstania Warszawskiego.

Były to dla mnie czasy pełne rozpędu, nieograniczonej wiary w słuszność wypowiedzianych poglądów, niepohamowanego wigoru publicystycznego, włączenia się w wyższe rejony polityczne labiryntu tamtych lat. Z szerszym światem dziennikarskim Warszawy nie zdołałem w tym okresie nawiązać bliższych stosunków, ponieważ na gruncie warszawskim byłem nie tylko człowiekiem nowym, ale ponadto poprzedziła mnie fama z okresu lwowskiego, podniecana przez koła opozycji — z jednej strony endecji, która pamiętała mi rok 1934 we Lwowie, z drugiej — lewicy w jej różnych odcieniach, a z trzeciej kół żydowskich. Na terenie Syndykatu Dziennikarzy znajdowali się ludzie, którzy postanowili „ukarać” mnie za rozłam dokonany w lwowskim Syndykacie. Mimo to Wiewiórski projektował reaktywowanie mnie w warszawskim Syndykacie, skoro przenieśliśmy się na stałe ze Lwowa do Warszawy, ja sam jednak nie przywiązywałem do tego szczególnej wagi i zwlekałem ze zgłoszeniem się do warszawskiej organizacji; Wiewiórski uważał, że należy sprawę pozostawić czasowi, przeczekać, aż nastroje ulegną uspokojeniu. Wojna przerwała to wszystko, nie stałem się więc członkiem dziennikarskiej organizacji warszawskiej, pozostając do wybuchu wojny w rozłamowej organizacji lwowskiej.

Od pierwszej chwili znaleźliśmy się pod silnym ostrzałem. Celowały w tym warszawskie „Szpilki”, znakomite pismo satyryczne redagowane wtedy przez Zbigniewa Mitznera przy współpracy Świętopełka Karpińskiego, Hemara, Minkiewicza, Sterna, Tuwima, Jerzego Zaruby, J. Leca, Zuzanny Gruczanki, St. Rogowskiego i innych wybitnych pisarzy, poetów i satyryków. „Szpilki” rozpoczęły kampanię przeciw „Kurierowi Porannemu” z chwilą gdy po zmarłym Wojciechu Stpiczyńskim — odszedł ze stanowiska redaktora naczelnego Ferdynand Goetel. Był nim zaledwie 3 miesiące od 1 lutego 1937 r. Na pewno nie nadawał się na to stanowisko, mimo że był wybitnym i czołowym pisarzem ówczesnego okresu. „Szpilki” pokwitowały dymisję Goetla kilkoma wierszykami satyrycznymi, Marian Hemar pisał wtedy:

Gdzie Goetel? Bo rzecz taka:
Gryps dostał, na skutek grypsu
Już wyszedł z Poranniaka —
Jeszcze nie doszedł do Ipsu.

Zniknięcie dość tajemnicze,
Puszczam domysłom wodze,
Chyba go do tych zaliczę,
Co zniknęły po drodze.

Była to aluzja do sprawy gen. Zagórskiego, chociaż tym razem nie-
trafna.

M. Spielman w tym samym czasie ogłosił inny wierszyk:

Wczoraj redaktor, polityk, swój człowiek,
Dzisiaj wyleciał jak z procy,
Stara to bajka i stare przysłowie,
Fortuna kołem się toczy.

Ukazał się także rysunek Franciszka Pareckiego z podpisem „Wyspa na chmurnej północy” i wyjaśnienie: „Autor *Wyspy na chmurnej północy* Goetel został usunięty ze stanowiska redaktora naczelnego »Kuriera Porannego«”.

W ten sposób satyrycy pokpiwali sobie z Goetla po krótkotrwałym i niefortunnym okresie jego współpracy z „Kurierem”. Po Goetlu w kwietniu 1937 r. powołany został na to stanowisko Ryszard Piestrzyński z „Kuriera Poznańskiego” w Poznaniu. Początkowo „Szpilki” jak gdyby nie zauważyły tej zmiany i podjęły zjadliwą, chwilami nawet napaściwą, ale zawsze ciętą i ostrą kampanię, dopiero wtedy gdy w lipcu zjawilem się ze Lwowa na gruncie warszawskim i w „Kurierze Porannym”. Najpierw na tytułowej stronie w jednym z numerów, „Szpilek” ukazała się moja karykatura w formie postaci unoszącej się nad Warszawą i pomnikiem Zygmunta z podpisem: „Hrabyk nad Warszawą”. Wkrótce potem pismo to opublikowało drugą karykaturę z napisem: „Straszliwa omyłka w Warszawie, czyli kariera dwu panów H”. Jednym z nich był Wilam Horzyca, drugim ja. Oba w tym samym czasie przeniesiliśmy się do Warszawy ze Lwowa — Horzyca ze stanowiska dyrektora teatru lwowskiego na dyrektora Teatru Narodowego w Warszawie, a ja z redakcji „Dziennika Polskiego” we Lwowie na redaktora „Kuriera Porannego”. Podpis pod naszymi karykaturami głosił dowcipnie — pod karykaturą Horzycy: „Nowy dyrektor Teatru Porannego”, pod moją karykaturą: „Nowy redaktor Kuriera Narodowego”. Karykatury wykonał Jakub Bickels.

Potem posypały się czterowiersze na mój temat. St. P. Szydłowski pisał w wierszu pod tytułem *Rodowód Hrabyka*:

„Stürmera” ojcem można zwać
„Kurier Poranny” jego mać.

Janusz Minkiewicz tak sobie na mnie używał:

Humor miłym jest nawykiem.
Hrabyk? Przykro być hrabykiem.

Minkiewicz pisał z kolei o Piestrzyńskim:

Czytelnicy! niech nie boli was głowa
O Hiszpanię i konflikt chiński!
Nowy konkurs zrobi Hołówkowa
Pod nazwą: Pani i jej Pies-trzyński

robiąc aluzję do jakiegoś konkursu ogłoszonego świeżo przez „Kurier Poranny”.

O „Kurierze Porannym” „Szpilki” w tym czasie pisały:

Satyra prawdę mówi,
Ostrych słów użyjmy:
Był niegdyś liberalny,
Dziś jest liberyjny.

Dostało się też Stahlowi po jego wejściu do „Gazety Polskiej”. Uka-zała się karykatura Stahla przybranego w hełm i wykonującego paradny krok pruski, a podpis brzmiał: „Stahlhelm”. W wyjaśnieniu było napisane: „Docent Stahl ma zostać przywódcą młodzieży obozu płk. Koca”. Stahl nie został wprawdzie przywódcą młodzieży, ale pozostała jego karykatura.

Nie oszczędzono także naszego przyjaciela z lat dwudziestych Jana Rembielińskiego, redaktora „Podbipięty” wydanego przez Rembielińskie-go po opuszczeniu przez niego endecji:

Pytają — Goetel,
Jaki pisma cel,
No i w tym jest kram,
Że ja nie wiem sam.

Satyra wymierzona przeciwko nam jako grupie, a między innymi przeciw mnie osobiście, miała jednak dwa końce. Z jednej strony ude-rzała w nas w sposób niełatwy do przeciwdziałania, z drugiej jednak popularyzowała nasz zespół w opinii publicznej i świadczyła, że repre-zentujemy o tyle niepokojący i interesujący temat, iż najcelniejsi saty-rycy w najlepszym satyrycznym piśmie zajmują się naszymi osobami i pozycjami. W mojej działalności publicznej i politycznej za najskutecz-niejszą broń w rękę przeciwnika uważałem zawsze zorganizowany przez niego spiszek milczenia. Nic bowiem bardziej nie zabija w działalności publicznej, jak jej przemilczanie. Natomiast nic bardziej nie jest dla niej pożądane, jak każda propaganda poświęcona tej działalności lub prowadzącym ją ludziom, bez względu na to, czy ma ona charakter aprobujący, czy jest akcją najzjadlejszą i najgwałtowniej zwalczającą, krytykującą, a nawet napastującą w sposób dotkliwy. Cechowało mnie zawsze duże poczucie humoru i nie miałem nigdy żadnych zastrzeżeń wobec zjadliwych żartów czy satyry kierowanej pod moim adresem. Dlatego byłem zadowolony z kampanii „Szpilek”, która zwracała na nas

uwagę opinii publicznej. Na trudnym, wielkim, politycznym rynku Warszawy była to przysługa godna największej i szczerzej wdzięczności. Przybyłem do stolicy ze Lwowa i chociaż na gruncie lwowskim byłem postacią popularną i znaną, nie wystarczyło to na arenie warszawskiej. „Szpilki” znakomicie ułatwiły mi start na nowym terenie.

Nie brakło zresztą i innych podobnych podjazdów i ataków, które w dalszym rozwoju spraw przyczyniły się do tego, że wkrótce znalazłem się w sytuacji dziennikarza i publicyisty znanego co najmniej w kołach politycznych i inteligentkich Warszawy, które dawniej o mnie nie słyssały. Reszty dokonywałem przy pomocy mojej publicystyki na łamach warszawskiego dziennika.

Jak zwykle w dotychczasowej mojej karierze miałem wkrótce na nowym stanowisku równie sporo entuzjastów, jak zdecydowanych wrogów, co stanowiło dla mnie zawsze miarę i słuszności, i skuteczności mego działania. Bałem się zawsze, jak już wspomniałem, jednomyślniej aprobaty dla wyrażanych przeze mnie poglądów, cenilem sobie także przeciwników, ponieważ wedle ich ilości liczyłem własną przydatność. Wolałem mieć ich więcej niż mniej. Zwolennikom byłem wdzięczny za okazaną mi sympatię i zaufanie, równoważące z nawiązką przykrości i kłopoty ze strony przeciwników. Z tymi ostatnimi byłem jednak gotów nie tylko do dyskusji, ale i do osobistej przyjaźni. Nawet gwałtownych — bywało — napaści nie traktowałem nigdy jako obrazy osobistej, pamiętny dwu zasad: że stanowcza czy nawet namiętna forma wypowiedzi świadczy zarówno o stopniu przekonania mego przeciwnika i o jego zaangażowaniu się w dyskutowaną problematyce, jak również jest dodatnią cechą temperamentu pisarskiego; pamiętałem również o tym, że gdzie drwa rąbia, tam lecą wióry. W praktyce polskiej zasady te były z reguły obce polemistom i rzecznikom różnych poglądów. Przeciwnik polityczny w większości wypadków stawał się przeciwnikiem, a nawet wrogiem osobistym; w niejednym wypadku było to równoznaczne ze zerwaniem stosunków towarzyskich między zwaśnionymi partnerami. Nie rozumiałem nigdy tej zapiekłości, uważając ją za poważny niedostatek kultury naszego życia publicznego. Padałem nieraz ofiarą tych obyczajów, zawsze dla mnie niepojętych i dziwacznych.

* * *

*

Moja dwudziestosiedmiomiesięczna współpraca z „Kurierem Poranym” przypadła na okres zupełnie szczególnej wagi i dramatycznego napięcia w sytuacji zarówno międzynarodowej, jak polskiej, zakończonego gigantyczną eksplozją na skalę światową. Byliśmy w tym czasie jako państwo na najbardziej wysuniętym i jak się okazało najbardziej zagrożonym odcinku frontów, jakie powstały w momencie zbrojnej agre-

sji Hitlera. Na tym odcinku nasza placówka prasowa przy Marszałkowskiej w Warszawie wspólnie z „Gazetą Polską” reprezentowała — słuszną czy błędną — ale oficjalną politykę ówczesnego rządu polskiego.

„Gazeta Polska” była oficjalnym organem rządowym w stopniu wyższym aniżeli „Kurier Poranny”, który uchodził za pismo miarodajne, ale półoficjalne, także za naszych czasów, jakby z odchyleniem ku skrzydłu w miarę lewicującemu. Takich skłonności nasz zaprzyjaźniony organ z ul. Szpitalnej redagowany przez Ignacego Matuszewskiego i Bogusława Miedzińskiego starannie się wystrzegał. W 1937 r. Matuszewskiego już w „Gazecie Polskiej” nie było i wyłącznym jej dysponentem został Miedziński, najinteligentniejszy, rasowy polityk obozu piłsudczyzny, odsunięty od udziału w rządzie od kiedy za życia Piłsudskiego jako minister poczt i telegrafu dopuścił do głośnej afery z budową gmachu poczty w Gdyni. Od tego czasu znajdował się na uboczu, ale redagował właśnie „Gazetę Polską”, co było pozycją niemałą, ale nie czołową i kluczową. Miedziński, polityk dużej miary odbywał cierpliwie tę pokutę przez lata i czekał na swoją pomyślną godzinę. Nadeszła ona dopiero po śmierci pamiętliwego i nieubłaganego starego marszałka, którego wiernym żołnierzem i wielbicielem pozostał Miedziński zresztą zawsze w duchu niewzruszonej żołnierskiej dyscypliny. Ale na wyższy szczebel wspiął się dopiero w okresie Śmigłego, przy którym szybko doszedł do pozycji na tyle ważnej, że wolno było upatrywać w nim inspiratora ulicy Klonowej. Zgodnie z wolą starego marszałka Sławek nie odpuszczał grzechów zdegradowanym towarzyszom nie tyle broni, ile doli piłsudczyzny, sam zresztą stając się wkrótce ofiarą intrygi, której co najmniej niektóre nici trzymał w ręku Miedziński, b. działacz „Wyzwolenia”, stronnictwa chłopskiego i radykalnego, ale silnie poprzetykanego wpływami piłsudczyków. Rolę piłsudczykowskiej wtyczki przyszedł redaktor „Gazety Polskiej” pełnić tak długo, aż się w końcu z „Wyzwoleniem” rozszedł, kiedy karta polityczna po 1926 r. została rozegrana wedła intencji Piłsudskiego. Miedziński pełnił również w swoim czasie funkcję szefa II Oddziału, co wśród czołowych piłsudczyków uchodziło za szkołę najwyższej klasy; kilku z nich przez nią przeszło, zajmując później znaczną pozycję w obozie piłsudczyzny. Ta szkoła wywierała znamię szczególnego typu i znajdowała wyraz w metodach politycznych, jak również w sposobie myślenia politycznego, pozbawionego sztywnego doktrynerstwa. Miedziński był doskonałym, żywym mówcą, znakomitym publicystą i elastycznym taktykiem, nie odchylającym się jednak od linii zasadniczego kierunku swojego obozu. Posiadał wyobraźnię polityczną, przymiot rzadki wśród Polaków, a już szczególnie wśród polskich polityków. Nie miał w sobie nic z ideologa i teoretyka typu Dmowskiego czy Skwarczyńskiego i wyraźnie stronił od teorii, ponieważ pasjonowała go wyłącznie praktyka

polityczna. Nie napisał żadnej książki typu „wskazań”, natomiast pisał dużo doskonałych artykułów bieżących. W polemice umiał się mistrzowsko fechtować z przeciwnikiem i czynił to z wielką wprawą i znajomością rzeczy, a także kulturą i poziomem w dyskusjach i starciach. Jak każdy rasowy polityk był cyniczny w rozgrywkach i posunięciach, ceniąc tylko efekty działania i jego skuteczność w zamierzeniach ogólnych. Stąd na ogół był nie lubiany i stale przed nim ostrzegano jako przed niebezpiecznym partnerem i graczem. Te zastrzeżenia wynikały ze zwyczaju polskiego, który każe wielbić polityków tylko „prostolinijnych”, a tym samym naiwnych, bo twardo obstających przy swoich „zasadach” bez względu na ich użyteczność w praktycznych skutkach działania. Miedziński nie był rzecznikiem „zasad”; był natomiast realizatorem polityki, którą uważał za słuszną, chociaż, jak wiemy, okazała się ona błędna i nieskuteczna dla założeń obozu, którego był wybitnym przedstawicielem. Przegrał wspólnie ze swoim obozem stawkę, na której opierał swoje przekonania, nadzieje i plany, ale tym się odróżnił od innych wybitnych polityków swego dawnego obozu politycznego, że ani w czasie wojny, izolowany na odległym kontynencie afrykańskim, czemu poddał się zresztą pod przymusem, ani po wojnie na emigracji nie przyjął żadnego udziału w jej życiu politycznym, pozostając z dala od czynnej polityki i zajmując się tylko porządkowaniem dokumentacji minionej przeszłości oraz pisaniem pamiętników. Wolno to uważać za jego milczącą, bierną zgodę na dokonane w Polsce przemiany i ustaloną nową rzeczywistość, co było równoznaczne z potwierdzeniem klęski polityki i rzeczywistości reprezentowanej dawniej przez Miedzińskiego. To wycofanie się po drugiej wojnie z jakiegokolwiek czynnej działalności świadczyło u b. marszałka Senatu co najmniej o tym, że zrozumiał wagę i treść dokonanego zwrotu i własną porażkę oraz wyciągnął z niej wnioski. Jest to dowód najwyższej inteligencji polityka, który przegrał swoją stawkę i zszedł dobrowolnie z widowni. O żadnym z polityków polskich na emigracji tego powiedzieć nie można. Miedziński stanowi jedyny wśród nich wyjątek, i to trzeba mu przyznać. Pod tym względem różnił się całkowicie od Ignacego Matuszewskiego, który hołdował wręcz odmiennej postawie: im bardziej przegrywał, tym gwałtowniej i rozpaczliwiej walczył w imię przegranej pozycji.

W „Gazecie Polskiej” z mojego okresu warszawskiego Miedziński był jej naczelnym redaktorem do chwili wybrania go marszałkiem Senatu, tj. do września 1938 r., po czym redakcję objął jeden z dwu braci prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego, Mieczysław, niedziennikarz i niepublicysta, skierowany do „Gazety” jako mąż zaufania obozu rządowego. Pamiętałem go ze Lwowa, gdzie pełnił obowiązki szefa wydziału bezpieczeństwa w tamtejszym województwie, a więc funkcję nie-

zupełnie harmonizującą z powołaniem późniejszego szefa redakcji. To ostatnie stanowisko wyglądało w dużym stopniu na synekurę stworzoną dla jednego z braci głośnego prezydenta, o którym mówiono, że jest jedynym wybitnym bratem wśród swego rodzeństwa. Zastępcą redaktora naczelnego był Stanisław Rogoż, a kierownikiem działu politycznego a zarazem „szarą eminencją” w redakcji — żona Miedzińskiego, Irena Obarska-Miedzińska, kobieta o dużej intuicji politycznej, wprowadzona w arkan polityki, ale wytrwale bojkotowana przez starsze damy z wyższych sfer piłsudczyzny, skupione przy Belwederze wokół Aleksandry Piłsudskiej. Damy te, wśród których szczególną rolę odgrywała żona Aleksandra Prystora, posłanka wsławiona akcją przeciw tzw. ubojowi rytualnemu, tępiły ze szczególną stanowczością drugie żony wysokich dygnitarzy obozu rządowego. Rozwody w wysokich kołach piłsudczyzny stały się rzeczywiście prawdziwą plagą. Dawni legioniści jako dygnitarze zmieniali żony, przystosowując się do zmienionych warunków swojej pozycji społecznej, a także potrzeb reprezentacyjnych, którym pierwsze żony, pojmowane w zupełnie odmiennych warunkach, nie zawsze odpowiadały. Przeciw tym praktykom wystąpiły namiętnie starsze panie pod patronatem Piłsudskiej i drugie żony spotkały się z zakazem wstępu na sale Belwederu. Były czasem w tej dziedzinie czynione różne ustępstwa, ale zasady pozostały nie zmienione. W następstwie tworzyło to splot różnych intryg i nieporozumień w towarzyskich kołach pań ze sfery rządu. Irena Obarska, pochodząca ze znanej rodziny dziennikarzy, nie przełamała oporów starszych dam, o czym mi sama później opowiadała w czasie wojny, i do Belwederu na przyjęcia nie chodziła. Sytuacje i konflikty wytwarzające się na tym tle w ówczesnych kołach piłsudczyzny przybierały nieraz charakter groteski, ponieważ cały ten spór miał w praktyce cechy „wojny babskiej”. Mężowie w tych sporach nie uczestniczyli.

Irena Miedzińska, kobieta o nieprzeciętnej inteligencji, trzymała redakcję „Gazety” w surowych ryzach politycznych, co przychodziło jej łatwo jako żonie redaktora naczelnego, a także siostrze znanych dziennikarzy stołecznych. Jeden z jej braci był dyrektorem oficjalnej Polskiej Agencji Telegraficznej. Publicystą politycznym — obok Miedzińskiego i innych — był wtedy Zdzisław Stahl. Nielatwy w obcowaniu, wyniosły i apodyktyczny, Stahl utrzymywał bliski kontakt jedynie z Miedzińskim i nie nawiązywał bliższych stosunków z zespołem dziennikarzy pracujących w „Gazecie”. Wkrótce wyrobiło mu to opinię „tajemniczego Dżemsa” stroniącego od redakcji, która zresztą odwzajemniała się nawzajem publicyście stosunkiem równie obojętnym. Po latach niektórzy koledzy z dawnego zespołu „Gazety” nie pamiętali nawet jego nazwiska i musiałem je dopiero uzupełniać w rejestrze ich wspomnień o tamtych czasach. Stahl swoją pozycję i nadzieje budował na Miedzińskim, ale

w rzeczywistości zdążył do bezpośredniego kontaktu ze Śmigłym, co — w jego mniemaniu — mogło stworzyć pełną podstawę do jego dalszych planów politycznych. Miedziński miał być w tych obliczeniach tylko szczeblem, ponieważ nie on, oczywiście, dysponował ostateczną decyzją. Ale Miedziński z przyczyn chyba naturalnych nie kwapił się wprowadzać nowego publicysty „Gazety” na salony ul. Klonowej, uważając za wystarczające informacje Stahla o niektórych wybranych przez siebie elementach arkanów politycznych; poza tym usadowił go przy biurku redakcyjnym i na krześle poselskim w Sejmie. W tych warunkach sytuacja Stahla w „Gazecie”, szczególnie po odejściu Miedzińskiego z redakcji i w okresie Mieczysława Starzyńskiego, stała się po prostu niezręczna. Pośrednictwo nieautorytatywnego Starzyńskiego, którego Stahl lekceważył, i rozluźnienie kontaktu z Miedzińskim, który jako marszałek Senatu miał poważniejsze kłopoty i zadania aniżeli częste spotkania i rozmowy ze Stahlem, stały się przysłowiowym cierniem na drodze mego przyjaciela z „Gazety”.

Nasza sytuacja w „Kurierze Porannym” wspólnie z Piestrzyńskim była całkowicie odmienna; dysponowaliśmy samodzielnie dziennikiem, redagowaliśmy go politycznie wedle własnej koncepcji, utrzymując oczywiście kontakty zewnętrzne, ale w miarę potrzeby i bez obowiązku bezapelacyjnego posłuchu czy wykonawstwa. Byliśmy w pełnym tego słowa znaczeniu redaktorami pisma, gdy Stahl był tylko jednym z publicystów, stale podlegającym kontroli szefa, który ulegał nieuchwytnym zewnętrznym inspiracjom i wskazówkom także w stosunku do wypowiedzi Stahla i jego artykułów. To wszystko było dla niego nieznośne i bardzo go męczyło. Odbywaliśmy na ten temat niezliczoną ilość rozmów, ponieważ Stahl żalił się coraz częściej i coraz gwałtowniej. Nie mogłem mu w niczym pomóc i ograniczałem się do pocieszania mego przyjaciela, że nadejdą zapewne lepsze dla niego czasy. Ale nigdy nie nadeszły. Stahl nie znalazł się w zespole Śmigłego, ale w swojej trudnej sytuacji dotrwał aż do wybuchu wojny. Swoje niedobory na terenie „Gazety” i w polityce uzupełniał mój przyjaciel w partiach tenisowych rozgrywanych ranną porą na warszawskiej Agrykoli, gdzie jego partnerem bywał czasami ówczesny ambasador amerykański Biddle. To stwarzało iluzję i snobistyczną satysfakcję bezpośredniego kontaktu z wielkim światem, skoro rodzimy zawodził.

Zespół redakcyjny „Gazety” był poza tym wyborowy. Najbliższym zaufanym Miedzińskiego pozostawał Eugeniusz Szrojt, który m. in. zajmował się depeSZami głównie politycznymi, co w oficjalnym dzienniku posiadało niemałe znaczenie. Szrojt był dziennikarzem doskonałym i wytrawnym. Sekretarzowali w redakcji Stanisław Max i Wacław Lasota,

który, później odszedł, a w czasie wojny zginął tragicznie w getcie. Dział gospodarczy prowadził Bohdan Witwicki; felietonistą był jeden z uroczych seniorów dziennikarstwa warszawskiego ówczesnych lat Tadeusz Hiż, pozostający jakby na emeryturze, ale czynnie nadal pracujący. Reportażem krajowym zajmował się młody wówczas Marek Sadzewicz, który kontynuował tradycję rodzinną, ponieważ był synem jednego z najgłośniejszych w poprzednim okresie dziennikarzy warszawskich Antoniego Sadzewicza, redaktora popularnej „Dwugroszówki” wydawanej od 1912 r. W czasie pierwszej wojny światowej Antoni Sadzewicz przed zajęciem Warszawy przez Niemców wyjechał do Rosji i tam w Moskwie redagował „Gazetę Polską”, po czym po wojnie przez jakiś czas prowadził nadal w Warszawie „Dwugroszówkę”, później praktycznie zlikwidowaną i połączoną z endecją „Gazetą Warszawską”. A. Sadzewicz związany od lat z endecją popadł z nią w konflikt i opuścił w końcu jej szeregi w 1927 r. Założył wtedy „Gazetę Poranną”. Pismo wychodziło jednak tylko do 1929 r., po czym upadło, a jego redaktor przeszedł do prorządowej agencji „Iskra”, a następnie jako publicysta do „Expressu Czerwonego”. Syn Marek od wczesnych lat wyróżniał się talentem dziennikarskim i w „Gazecie” zabłysnął szybko jako zdolny reporter.

Kierownikiem działu miejskiego w „Gazecie Polskiej” był w tym czasie Tadeusz Niesiołowski, a Andrzej Kobyłecki zajmował się rubryką „kryminałów”. Sport należał do Edwarda Sokoppa, technikiem był Jan Chełmicki, przed którym funkcję tę pełnił Czesław Stanisławski zwolniony wskutek nadmiernej skłonności do alkoholu. Stanisławski pracował następnie w „Gazecie Handlowej”. Spotkałem go po wojnie na terenie Niemiec i tam ze mną współpracował, ale to już jest inna karta tych wspomnień. Adiustatorem technicznym był Aleksander Czyżewski, a literackim sam Kazimierz Wierzyński, który równocześnie pełnił rolę kierownika literackiego w piśmie, chociaż redaktorem kolumny literackiej był Juliusz Kaden-Bandrowski. Obsada zatem w tej dziedzinie była przednia. Stefan Leczycki zajmował się zarówno sportem, jak cyrkiem, aferami, a w ogóle był tzw. „redaktorem wypadowym”. Sportu — obok Sokoppa — pilnował również Roman Grzymała, sprawozdawcą sejmowym niezmiennie zawsze i ogromnie „na serio” był Ryszard Kiersnowski, publicystą krajowym Henryk Leinert, fotoreporterem Janusz Smogorzewski, brat Kazimierza. Bodaj najmłodszym w zespole był Mieczysław Fleszer, dział krajowy prowadził Bernard Kiser. Nie jestem pewien, czy nie pominąłem innych, ale wymienieni stanowili na pewno trzon naszego bratniego organu.

Znakomity był zespół jego korespondentów zagranicznych: Z Berlina pisał Kazimierz Smogorzewski, z Moskwy Jan Otmar, później stamtąd

wyproszony i przeniesiony do Sztokholmu, z Paryża Korab-Kucharski, z Rzymu Feliks Chrzanowski, z Londynu Florian Sokołow. W New Yorku w tamtych czasach nie było stałych korespondentów stołecznej prasy warszawskiej. Stany Zjednoczone w owych latach nie ważyły na szachownicy międzynarodowej, tej przynajmniej, na której poruszały się także figury polskie. Był to kraj wówczas bardzo odległy, właściwie w znacznym stopniu egzotyczny dla Europejczyków, a w ogóle nie decydujący dla europejskiego kontynentu, a tym bardziej Warszawy. Wystarczały zatem dorywcze relacje przygodnych korespondentów opisujące osobliwości amerykańskiej dżungli. O polityce amerykańskiej niemal nie wspomiano.

Z głośnych nazwisk na łamach „Gazety” czytało się Arkadego Fiedlera, Jarosława Iwaszkiewicza, Polę Gojawiczyńską, Zofię Kossak-Szczuczką, profesorów Infelda i Zielińskiego (znawcę antycznej starożytności) i innych świetnych autorów.

Miedziński lubował się w ceremoniale i woźni redakcyjni występowali w uroczystych liberjach. U nas w „Kurierze Porannym” byli także przybrani w mundury, ale raczej swobodnego kroju. W mieszkaniu Miedzińskiego, które mieściło się najpierw przy ul. Szpitalnej nad redakcją, a później przy zbiegu Brackiej i Nowogrodzkiej, znajdował się również lokaj w liberii, zresztą dawny ordynans redaktora naczelnego z czasów jego lat wojskowych. Opowiadano w kołach dziennikarskich Warszawy, że Miedziński, który pojechał na polowanie (a był myśliwym z zamiłowaniem) i wrócił z wyprawy przedwcześnie, zastał w mieszkaniu swego lokaja w pijamie i w otoczeniu kilku dam z ćwierćświatka przy sutej libacji w salonie. Najwidoczniej nie dość przezorny były ordynans uznał, że jemu również coś się należy z uciech świata, przynajmniej pod nieobecność pana domu. „Karnie” zwolniony, skierowany został w roli woźnego, także w liberii, do redakcji „Gazety Polskiej”. Uznano tę decyzję za sprawiedliwą i umiarkowaną, niemniej dziennikarze twierdzili, że uwłacza ona redakcji pisma, skoro swoista rozpusta lokaja w domu naczelnego redaktora nie stanowiła przeszkody w ulokowaniu tegoż lokaja w redakcji pisma rządowego.

Głośne były również inne przygody w „Gazecie Polskiej”. Pewnego razu młodzież akademicka rozpoczęła na uniwersytecie przy Krakowskim Przedmieściu tzw. strajk okupacyjny, który polegał na tym, że młodzież obsadziła tłumnie obszar uniwersytecki i nie chciała go opuścić. Był to protest wobec jakichś zarządzeń wymierzonych przeciw bytowym sprawom młodzieży. Wojewoda m. Warszawy Jaroszewicz, nazywany „Włodź”, postanowił młodzież usunąć z terenu uczelni i równocześnie urządzić to w ten sposób, by nikt z prasy nie był świadkiem tej gwałtownej operacji. Próby dziennikarzy, aby mimo to przedostać się przez bramę

uniwersytecką przy Krakowskim Przedmieściu, na nic się nie przydały wobec stanowczego oporu komisarzy policyjnych blokujących wejście. Wobec tego dziennikarze, wśród których znajdował się także Marek Sądzewicz, postanowili przedostać się na zamknięty teren bocznym wejściem od strony bodaj Karowej i skorzystali z momentu, kiedy przez inną bramę wkraczała zbrojna kompania „chłopców z Gołędzinowa” przeznaczona do akcji. Obecny wśród niej komisarz Banko uniemożliwił jednak ten manewr, wobec czego uparci reporterzy zwrócili się do dyżurnego lekarza z Pogotowia asystującego z karetką policji, aby użyczył im białych fartuchów i przemycił dziennikarzy jako służbę sanitarną. Lekarz odmówił, ale wskazał reporterom dymnik, przez który dostali się w końcu na dachy uniwersytetu i stamtąd zupełnie dokładnie obserwowali akcję policji usuwającej młodzież przy pomocy sikawek, pałek i innych środków przemocy. Nazajutrz Sądzewicz ogłosił na łamach „Gazety” dokładną relację z przebiegu wydarzeń na uniwersytecie, a w południe został wezwany przed oblicze naczelnego, ponieważ wojewoda Jaroszewicz zrobił wyrzuty, że rządowy organ wyłamał się spod jego zakazu. Sądzewicz opowiedział dokładnie Miedzińskiemu o przebiegu sprawy i ku swojemu zdziwieniu otrzymał stużłotową premię za uzyskanie specjalnej informacji dla pisma. Miedziński ocenił w tym wypadku wyżej sprawność dziennikarską reportera aniżeli racje policyjne Jaroszewicza.

W ostatniej fazie przed wybuchem wojny stanowisko zarówno „Kurieria Porannego”, jak i „Gazety Polskiej” w sprawach polityki zagranicznej, zgodne zresztą wtedy z postawą reszty prasy także opozycyjnej, było solidarnie popierane przez całe społeczeństwo, od chwili gdy polityka rządu w marcu 1939 r. przeciwstawiła się hitlerowskiej Rzeszy i zdecydowano odeprzeć zamierzoną i postanowioną napaść Hitlera na Polskę. Przedtem jednak polityka tego samego rządu i jego organów prasowych budziła daleko idące zastrzeżenia i sprzeciwy w stosunku do oficjalnej platformy współdziałania Warszawy z Berlinem, w oparciu o pakt o nieagresji z 1934 r.

W jednym i drugim etapie tych dwu lat poprzedzających bezpośrednio dzień wybuchu drugiej wojny światowej wypełniałem niełatwe obowiązki zastępcy redaktora naczelnego i publicysty politycznego „Kurieria Porannego” na odcinku ówczesnych wewnętrznych problemów Polski, integralnie powiązanych z punktu widzenia polityki ówczesnego rządu i rządzącego Polską obozu z całokształtem sytuacji zewnętrznej i międzynarodowej, regulowanej założeniami ówczesnych kierowniczych czynników obozu rządzącego. Jeżeli w świetle wyników drugiej wojny światowej i ponad trzydziestoletniej perspektywy wiemy obecnie, że zarówno te założenia, jak wynikająca z nich polityka były oparte na mylnym rozpoznaniu, a w konsekwencji na błędnych zasadach, to wówczas,

w latach 1937—1939, jeszcze o tym nie wiedzieliśmy ani w „Kurierze Porannym”, ani w Polsce, ani w Europie zachodniej, z którą Polska pozostawała we współpracy. O ile obóz piłsudczyzny posiadał w Polsce znaczną i wpływową opozycję w dziedzinie zagadnień wewnętrznych, ustrojowych i ideologicznych, o tyle w zasadniczych problemach polityki zagranicznej reprezentował praktycznie stanowisko wszystkich bez wyjątku legalnych partii politycznych.

Pomimo bowiem sprzeciwu, jaki w partiach opozycyjnych od początku budził układ z Niemcami i wszystkie wynikające z niego praktyczne konsekwencje, legalna opozycja polska zdecydowanie i solidarnie stała zawsze na gruncie antyradzieckim i popierała politykę izolowania Związku Radzieckiego w polityce europejskiej, a co za tym idzie niedopuszczenia do bliższych powiązań sojuszniczych Polski z Moskwą. Pod tym względem postawa piłsudczyzny i opozycji — z wyjątkiem nielegalnej Komunistycznej Partii Polski — była idealnie zgodna. Ponadto legalna opozycja — wspólnie z obozem rządowym — wyznawała zasadę wiązania Polski z Francją, jak w ogóle z Zachodem i sprzyjała soюзom poszukiwanym wśród mniejszych sąsiadów Polski, a wśród nich z Rumunią. Różnice pomiędzy linią obozu rządzącego i polityką Piłsudskiego a potem Becką a stanowiskiem opozycji polegały jedynie na sile akcentów polityki polskiej w stosunku do Francji i Czechosłowacji, ale głównie Francji, którą opozycja uważała za główny bastion ochrony dla bezpieczeństwa Polski, a obóz Piłsudskiego poszukiwał w tej dziedzinie innych dodatkowych rozwiązań i usiłował je znaleźć w równoległym nawiązaniu współpracy z Niemcami przy niezrywaniu węzłów sojuszniczych z Francją.

W żadnym z tych rozwiązań, w żadnej formie nie była brana pod uwagę współpraca z ZSRR, a tym bardziej oparcie bezpieczeństwa Polski na sojuszu polsko-radzieckim, co jak się okazało, mogło być rozwiązaniem najważniejszym wśród wszystkich innych wówczas podejmowanych. Z ZSRR Polska posiadała w tym czasie stosunki dyplomatyczne względnie i formalnie poprawne, ale chłodne i ten klimat był konsekwentnie przestrzegany ze strony Warszawy.

Układ wewnętrzny w Polsce — wedle rozumienia obozu Piłsudskiego — dostosowany został do koncepcji w dziedzinie polityki międzynarodowej. Zgodnie z teorią „dwu wrogów”, których ustroje miały określoną specyfikę, w Polsce wprowadzono system tzw. demokracji kierowanej i „rządów autorytatywnych”, które nie miały wprawdzie wszystkich cech klasycznego faszyzmu, ale wykazywały w pewnym stopniu tendencję do przystosowania się do tego typu ustrojowego. Nie likwidując mianowicie wachlarza stronnictw politycznych, grupa rządząca piłsudczyków zastrzegła sobie jednostronnie prawo do rządów całkowicie niez-

leżnych od stronnictw politycznych. Prowadziło to nieuchronnie do poważnych konfliktów w życiu wewnętrznym kraju, którym sprzyjały poważne trudności gospodarcze i ciężkie powikłania społeczne oraz brak dość skutecznego planu w dziedzinie ich rozwiązywania. Hasłem, które miało niwelować opory i sprzeciwy, stało się nawoływanie do „dyscypliny” wymaganej w imię racji stanu i do zaufania do Naczelnego Wodza, tj. personalnie do Śmigłego i armii jako gwaranta bezpieczeństwa Polski. Im bliżej wojny, oba te hasła zaczęły dominować coraz mocniej w propagandzie i polityce wewnętrznej rządu.

Obóz rządzący nie był jednak formacją jednolitą i bezpośrednio przed wojną targały nim poważne wstrząsy. Ich najbardziej dramatycznym akcentem stało się samobójstwo Walerego Śławka na kilka miesięcy przed Wrześniem. Było jednak tych objawów znacznie więcej. Trwała zawzięta walka między „grupą pułkowników” a zespołem ludzi skupionych przy Zamku z Prezydentem Mościckim i min. E. Kwiatkowskim na czele. Czynne były również także inne kontrowersyjne grupy, aby wspomnieć tylko „naprawiaczy” i tzw. „lewicę piłsudczykowską”.

Nie była wolna od rozbieżności i rozdarcia również opozycja. Mimo pozornej jedności w solidarnych atakach i akcjach przeciw rządowym motywom stanowiska poszczególnych stronnictw opozycyjnych były diametralnie przeciwstawne. Odrębne pozycje zajmowali endecy, w tym czasie całkowicie rozbici i przeżywający ciężki kryzys wewnętrzny; odrębnie szli socjaliści z PPS, także niejednolitej; miał swoje własne drogi Wincenty Witos, z którym w permanentnym konflikcie pozostawał Maciej Rataj. Szczególną formację stanowił Front Morges z Ignacem Paderewskim jako duchowym przywódcą tego ugrupowania i Władysławem Sikorskim jako nieformalnym jego „mężem przyszłości”. Wśród tych głównych sił opozycji istniały pomniejsze, zmienne w swoich stanowiskach i rozgrywkach. Rozbicie i wynikająca stąd słabość opozycji, mimo jej poważnych łącznych wpływów w społeczeństwie, była w dużej mierze siłą obozu rządzącego. Niewiele wskazywało, aby rozbita opozycja mogła dojść w krótkim czasie do jakichkolwiek pomyślniejszych dla siebie rezultatów.

Niemalym jednak motywem podtrzymywania przez obóz rządzący zasady „dyscypliny i zaufania”, a w następstwie (nawet w bezpośrednim okresie przedwojennym) odrzucania koncepcji rozszerzenia platformy rządu na stronnictwa opozycyjne i utrzymywanie w ten sposób władzy wyłącznie przez piłsudczyków, była obawa przed możliwością zweksławiania polityki polskiej na drogę ustępstw w stosunku do Hitlera już nawet po otwartym ujawnieniu przez niego (wiosną 1939 r.) zaborczych zamiarów wobec Polski. Źródłem tej obawy był przykład Monachium i wywarty wówczas przez Francję i Wielką Brytanię nacisk na Czecho-

słowacę i liberalno-demokratycznego Benesza prowadzący w końcowym rezultacie do kapitulacji przed postulatami Hitlera. Kierownicze koła piłsudczyzny w niektórych ośrodkach, szczególnie pośród liberalno-lewicowej opozycji, upatrywały tendencje zdolne do ślepego podporządkowania się inspiracjom głównie Francji, która — wedle przewidywań kół piłsudczykowskich — mogłaby podjąć tym razem w stosunku do Polski nową próbę „ratowania” pokoju europejskiego kosztem żywotnych interesów Polski. Jak dalece te przypuszczenia były słuszne trudno dziś autorytatywnie rozstrzygnąć, ale pozostaje faktem, że istniał w tym czasie w Polsce „obóz francuski” upatrujący w Paryżu całą wyłączną nadzieję przyszłości polskiej, przekonany o niezwyciężalności Francji i o jej zdecydowanym duchu oporu wobec ewentualnej agresji Hitlera, a także o obowiązku Polski dotrzymania absolutnej solidarności z Francją. Sojusz polsko-francuski był wedle tych kół wyrazem zasadniczej niezastąpionej linii bezpieczeństwa polskiego. Do głównych wyznawców tej teorii zaliczano gen. Władysława Sikorskiego i prof. St. Strońskiego związanego w tym czasie z „Kurierem Warszawskim”, głównym organem reprezentującym „linię francuską”. Nieobce były jednak znaczne sympatie francuskie także innym ludziom i stronnictwom opozycji i na tym podłożu koła rządzące spoglądały z dużą podejrzliwością na działalność tych zespółów.

Z drugiej strony — tuż przed wojną wydał książkę Władysław Studnicki, który otwarcie nawoływał do porozumienia z Niemcami i do ustępstw wobec Hitlera i skierowania polityki polskiej przeciw Związkowi Radzieckiemu we współdziałaniu z Trzecią Rzeszą. Książka została w całości skonfiskowana i w ogóle nie ukazała się na rynku księgarskim. Chociaż Studnicki nie posiadał żadnego oparcia w społeczeństwie i działał w idealnej izolacji — niedwuznaczną sympatią darzył go jedynie Stanisław Mackiewicz i nieliczni jego adherenci z grupy niektórych młodych konserwatystów — to jednak wystąpienie tego „ideowego germanofila” było ostrzegawczym sygnałem, że Hitler może uzyskać szczelinę jakichś wpływów oddziaływania na bodaj drobne grupki polityczne lub chociaż pojedynczych ludzi w Polsce i tą drogą próbować dywersji na większą skalą. Zagrożenie tą ewentualnością było wprawdzie nikłe, ale nie było wykluczone. Takie były generalne motywy postawy kierowniczych czynników politycznych w Polsce w okresie przedwojennym, jeżeli idzie o ich stanowisko wobec opozycji w dziedzinie spraw natury wewnętrznej.

Była tylko jedna jedyna całkowicie bezsporna platforma skupiająca zgodnie rząd, obóz rządowy i całą bez wyjątku legalną opozycję, a był nim front antykomunistyczny, antyradziecki. Żadna legalna partia ówczesnych czasów, ani z prawa, ani z lewa, nie występowała ani jawnie, ani pozakulisowo z programem współdziałania z komunistami i ze Zwiąż-

kiem Radzieckim, a koła pośrednio lub bezpośrednio nawołujące do utworzenia wspólnego z nimi frontu i skupione na skrajnych skrzydłach partii lewicowych znajdowały się bądź w znakomitej mniejszości w ramach swoich macierzystych stronnictw, bądź stanowiły stosunkowo niewielkie samodzielne zespoły, bądź były tępione, jeśli nie przez władze państwowe, to przez większość antykomunistyczną w partiach wykazujących aktywną obecność grup prokomunistycznych albo jawnie komunistycznych.

Zgodnie z tymi wszystkimi założeniami i zasadami reprezentowałem w „Kurierze Porannym” jako organie prorządowym owych przedwojennych dwu lat kierunek wyrażający stanowisko obozu politycznego, który realizował wtedy swoją linię. Nie chcę powiedzieć, że nie sprzyjałem tej linii albo że miałem w stosunku do niej zastrzeżenia. Całkowicie ją aprobowałem i świadomie ponosiłem za nią odpowiedzialność na łamach pisma. Każde moje wystąpienie było sygnowane inicjałami mego imienia i nazwiska, które w tych czasach nie schodziło również ze szpalt innej prasy, głównie opozycyjnej, podejmującej dyskusje i polemiki z moim stanowiskiem. Dla mnie był to okres dużej dynamicznej aktywności publicystycznej. „Kurier Poranny” tamtego okresu był bez przerwy wypełniany moimi wypowiedziami, artykułami, komentarzami, polemikami i oświeczeniami. Prowadziłem równocześnie codzienny przegląd prasy, który stał się dodatkową trybuną dla licznych komentarzy i polemik. Nie zabierałem natomiast głosu w dziedzinie zagadnień polityki międzynarodowej, ograniczając się do spraw związanych z problemami wewnętrznymi ówczesnej Polski.

Front moich partnerów był bardzo szeroki: obejmował prasę konserwatywną z „Czasem” i „Słowem” wileńskim na czele, z którymi odbywałem szczególnie gwałtowne starcia, ale niemniej stanowcze były spotkania z endeckim „Warszawskim Dziennikiem Narodowym” i z innymi pismami endecji, wśród nich z lwowskim „Słowem Narodowym”. Sławałem często w szranki z socjalistycznym „Robotnikiem”, polemizując i dyskutując głównie z Kazimierzem Czapińskim, ale także z Mieczysławem Niedziałkowskim. To właśnie Czapiński napisał w „Robotniku” już w czerwcu 1937 r., kiedy polemizowałem z nim na temat demokracji: „Jedno należy przyznać p. Hrabykowi, że prowadzi polemikę w tonie rzeczowym”. Wielkie to było dla mnie wyróżnienie, które spowodowało, że zawsze zachowałem dla tego publicysty sympatię, chociaż nigdy się z nim nie zgadzałem. Prowadziłem ostre polemiki ze Stanisławem Strońskim, ale jeszcze gwałtowniejsze ze Stanisławem Catem-Mackiewiczem, z prasą Stronnictwa Ludowego, z dziennikiem syjonistycznym „Nasz Przegląd”, słowem, z całym wachlarzem pism opozycji, która z kolei nie pozostawała mi dłużna. Tak się przez cały wielomiesięczny okres toczył gwałtowny spór o sprawy z ówczesnego punktu widzenia zasadni-

cze i podstawowe. W moich przeciwnikach, podejmujących obronę swego stanowiska lub zwalczających moje własne, widziałem zawsze ludzi głęboko przekonanych o słuszności ich postawy, tak samo jak ja sam byłem najgłębiej przekonany o własnych sądach i opiniach. Nikt z nas, jak sądzę, nie przewidywał, że to wszystko, cośmy pisali, okaże się nie tylko w dużym stopniu nieważne w obliczu grozy, która nadchodziła, ale również obustronnie błędne w świetle tego, co nastąpiło później, a cośmy częściowo przeczuwali czy przewidywali, ale nie zdawaliśmy sobie dostatecznie sprawy z ogromu potworności, jaka się zbliżała.

Bodaj wszyscy moi ówcześni adwersarze z łamów prasy warszawskiej i niewarszawskiej z tamtych lat bądź zginęli, wymordowani przez ludobójców hitlerowskich, bądź pomarli w czasie wojny i po jej zakończeniu. Należę do nielicznych, którym los oszczędził zagłady. Z tym większym poczuciem obowiązku składał Im wszystkim serdeczny, najgłębszy hołd i najczulsze słowa szczerzej o nich pamięci. Wiele nas w tamtych latach wedle najlepszej naszej wiary i przekonania niepotrzebnie dzieliło, ale przecież także i łączyło, gdy szło o żarliwą gotowość na rzecz wspólnej nam sprawy niepodległości Polski. Dowiodło tego podziemie wojenne, w którym nikogo nie zabrakło. Są to już czasy późniejsze, o których będzie jeszcze mowa w dalszych rozdziałach, ale nie sposób nie dodać, że także i w tym drugim okresie nie uwolniliśmy się od błędów przedwojennych, chociaż zachowując mimo to poczucie jedności w walce z wrogiem. Bilans tamtego okresu z lat zarówno 1939, jak 1945 był najlepszym sprawdzianem iluzorycznej polityki polskiej minionego okresu, który stał się jednak zaczynem dla procesu kształtowania się nowej wizji polskiej, której treść i formę nadali jednak dopiero polscy komuniści.

* * *

Zainauguowałem moją współpracę z „Kurierem Porannym” w dniu 6 czerwca 1937 r. podpisanym artykułem pt. *O zasady życia polskiego — nowa demokracja*, w której pisałem m. in.: „Jeśli mówimy dziś: nowa demokracja — to znaczy demokracja pozbawiona tych wszystkich złych i szkodliwych właściwości, jakie spaczały jej ideę, wykoślawiając jej właściwą treść i znaczenie. Polska nie znajduje się w tym szczęśliwym położeniu, aby mogła wytrzymać napór chaosu i anarchii partyjnej, a mimo to demokrację w życiu polskim utrzymać musimy. Nie ma jednej formułki na demokrację, jak nie ma, jak się okazało, jednej metody na realizację socjalizmu, jak nie ma wreszcie jednego sposobu budowania ustroju autoratynego. Demokracja jest w jednym tylko szczególnie charakterystyczna: wciąga do udziału w życiu narodowym masy społeczne. Ale jak dochodzi do realizacji tego swego zasadniczego postulatu, to już jest rzeczą obojętną i drugorzędną. Nowa demokracja to aktywna siła całego narodu wprzęgnięta w służbę powszechnie obowiązującej idei na-

rodu i państwa. To powszechność jednego rytmu. To zespolenie energii narodowej kosztem partyjnego chaosu. Nowa demokracja to nie lewica, ale w równym stopniu i nie prawica, nie konserwatyzm, ale postęp i dynamika życia polskiego”.

Już pierwszy ten artykuł wywołał obszerną dyskusję w czołowych pismach polskich. Wdał się ze mną w polemikę także Kazimierz Czapiński na łamach „Robotnika”. Napisałem w cytowanym artykule m. in., że dowodem względności w pojmowaniu metod demokracji są ograniczenia wolności we Francji, gdzie rząd socjalisty Bluma zdecydował właśnie wprowadzić zarządzenia redukujące znacznie wolność prasy, co stoi w związku z pogłębiającym się chaosem francuskim wytwarzanym w dużej mierze przez nieodpowiedzialną działalność ówczesnej prasy tego kraju. Czapiński w odpowiedzi na ten argument napisał: „Poszczególne drobniejsze zarządzenia Bluma nie zmieniają faktu, że wolność we Francji jest ogromna”. Replikowałem nazajutrz: „Jeżeli ograniczenie wolności prasy, i to takie, jakie projektuje większość parlamentarna Bluma, jest sprawą drobnego gatunku — to ze wstydem ukrywamy oczy, ale nie wiedzieliśmy. Autorytet p. Czapińskiego w sprawach demokracji starego typu jest nadto wielki, abyśmy mogli protestować. Możemy się tylko dziwić, że tak długo żyliśmy wszyscy pod przyjemną sugestią, jakoby wolność prasy była kanonem starej demokracji. Okazuje się, że byliśmy w błędzie. Uważamy ten szczegół za jeden z najkapitałniejszych rezultatów przeprowadzonej dyskusji prasowej [na temat demokracji]”.

Tymczasem jednak już pierwszy miesiąc mego pobytu w dzienniku warszawskim obfitował aż nadto w różnorodne wydarzenia. Prezydent Mościcki bawił najpierw w Rumunii, po czym z końcem miesiąca przybył do Polski król Karol II rumuński z synem Michałem, wówczas wielkim wojewodą. Przyjęcie było istic królewskie. Przedstawicielstwa dyplomatyczne obu krajów w Warszawie i w Bukareszcie podniesione zostały do rangi ambasad. Króla Karola mianowano szefem 57 polskiego pułku piechoty i wystąpił on w czasie wizyty w mundurze polskim. „Kurier Poranny” witał królewskich gości wstępnym artykułem w języku rumuńskim, nie szczędząc wyrazów entuzjazmu i radości z powodu tego wydarzenia. Jeden z tytułów „Kurieria” w tych dniach brzmiał dosłownie: „Armie Rumunii i Polski potęgą militarną Europy Środkowej”, a rumuński „Nationalul” zbliżony do premiera Tatarescu napisał: „Nic nigdy nie potrafi zakłócić tej przyjaźni”. Od września 1939 r. dzieliło nas wtedy jeszcze 27 miesięcy.

Ale przedtem przedstawiciele korporacji „Arkonía” zostali przyjęci przez marszałka Śmigłego, dziękując mu za udział w komersie korporackim w dniu 18 maja 1937 r.

20 czerwca 1937 r. odbyły się uroczystości Centralnego Związku Młó-

dej Wsi, organizacji wiejskiej powołanej w celu ograniczenia wpływów Witosa i stronnictw chłopskich na wsi pod hasłem wspólnego frontu narodowego oraz pod egidą armii i celów ogólnych państwa. Była to oczywiście zakamuflowana inicjatywa kół rządzących, która spotkała się nawet z pewnym oddźwiękiem wśród młodszego pokolenia wiejskiego, chociaż nie zrealizowała zamierzonych celów. Przewodził tej akcji syn chłopski inż. Stanisław Gierat z Kielecczyny, ruchliwy działacz i przywódca Związku. Na uroczystościach zjawili się rzecznicy rządu i piłsudczyzny, ze Śmigłym na czele, obecny był min. Kasprzycki, Sławoj Składkowski, min. sprawiedliwości i twórca Berezy Grabowski. Gierat „ślubował” na ręce Śmigłego i mówił o „dozgonnej pracy dla Polski i walce o jej mocarstwowy rozwój pod wodzą Twoją, Panie Marszałku”, po czym powitał gorąco także Sławoja, „którego pozytywny stosunek do wsi jest wszystkim znany”.

23 czerwca wybuchła niespodziewanie sprawa metropolity Adama Sapiehy w Krakowie. Szło o miejsce wiecznego spoczynku marszałka Piłsudskiego w katedrze wawelskiej. Sapieha postanowił samorzutnie przenieść trumnę ze zwłokami Piłsudskiego z krypty św. Leonarda do krypty pod wieżą Srebrnych Dzwonów. Komitet Pamięci marszałka Piłsudskiego prosił o zaniechanie tej decyzji, ponieważ przeniesienie trumny do tej krypty wymagałoby ponownego przenoszenia jej do innej w okresie wykonywania sarkofagu, który w tym czasie nie był jeszcze gotowy. Sapieha odmówił prośbie Komitetu i wtedy zwrócił się do niego osobiście Mościcki z tą samą prośbą. Hardy metropolita odrzucił także prośbę Prezydenta. Tego samego dnia rząd Sławoja podał się ostentacyjnie do dymisji, aby nadać tej sprawie znaczenie sprawy państwowej i szczególny rozgłos. „Kurier Poranny” wydał tego dnia nadzwyczajne wydanie na różowym, jak zwykle, papierze z informacją o dymisji rządu i jej motywach. W całym kraju zawrzało pod wpływem propagandy rządowej. „Fidac”, organizacja skupiająca pod przewodem gen. Romana Góreckiego wszystkie organizacje kombatanatów w całym kraju, rzucił radykalne hasło: „Sapieha do Berezy”. Obnoszono je na transparentach w różnych wystąpieniach ulicznych. Podjęto wielotysięczne i burzliwe demonstracje przeciw Sapieze i jego decyzji, stawiając zagadnienie na ostrzu miecza. Problem nabrał cech poważnego starcia między rządem a Kościołem, reprezentowanym w tym wypadku przez metropolitę krakowskiego. Nie cały jednak Episkopat podzielał stanowisko Sapiehy, jak nie podzielał go Watykan, a również nie cała opozycja poparła postawę metropolity. Poparł go natomiast stanowczo konserwatywny „Czas”, przeciw któremu bezzwłocznie zastosowano surowe represje.

Po śmierci w 1934 r. Antoniego Beaupré, redaktora naczelnego „Czasu” jeszcze z okresu krakowskiego i pierwszego etapu tego dziennika

w Warszawie, do głosu w redakcji doszła młoda gwardia konserwatystów i redakcję objął Jan Moszyński. Wokół redakcji skupił się dość znaczny zespół młodszych wyznawców konserwy, a więc bracia Zbyszewscy — Alfred Waclaw, który pracował z przerwami, aż w końcu przeniósł się na łamy wileńskiego „Słowa”, oraz Karol, który prowadził najpierw sport, a potem pisał felieton zatytułowany *Z papierowej armaty* i specjalizował się m. in. w zwalczaniu Stefana Starzyńskiego. Współpracownikiem był Stanisław Wyrobisz. Ksawery Pruszyński pracował sporadycznie, aż z ramienia „Czasu” pojechał jako korespondent do Hiszpanii, ale zaczął stamtąd przysyłać mocno „czerwone” relacje, które publikowały już „Wiadomości Literackie”, ponieważ dla „Czasu” były one niestrawne. Dział literacki pisma prowadził Wojciech Natanson, pisywał w tym dziale również Jarosław Janowski. Adam Grabowski, uczeń Adama Krzyżanowskiego, zajmował się działem gospodarczym, a równocześnie administracją pisma. Sekretarzem redakcji był Witold Wolf zaangażowany z „prasy czerwonej”, a jego zastępcą Edmund Moszyński, brat naczelnego. Stefan Michalski pełnił obowiązki sprawozdawcy sejmowego, Stanisław Mierzeński, późniejszy autor książki *Amerykanie*, zajmował się problematyką gospodarczą; Waclaw Szpilrejn był od spraw miejskich, Adam Romer prowadził „kronikę towarzyską” i pisywał, jak mówiono w redakcji, „straszne” artykuły na różne tematy. Adrian Czermiński, przyjaciel moich lat gimnazjalnych, zajmował się recenzjami filmowymi. Pracował tu także Ludomir Lewestan, Marian Ptakowski (powojenny Podkowiński, sprawozdawca norymberski i znakomity korespondent „Trybuny Ludu” z Bonn), który parał się z zagadnieniami kulturalnymi. Sołowiczówna była reporterką w dziale miejskim. Pracowała w redakcji młoda praktykantka Ewa Połomska, zastrzelona później z wyroku podziemia za kolaborację z Niemcami. Był i drugi wypadek tego typu. Współpracownikiem „Czasu” był mianowicie Zbigniew Konarzewski, na którym wykonano wyrok w lokalu „Pod Kotarą” w Warszawie. Konarzewski miał dwu wujów volksdeutscheów, z którymi uprawiał handel, a równocześnie nawiązał znajomość z b. żoną redaktora „Szpilek” Mitznerową, która była pochodzenia żydowskiego. Na tle nieporozumienia z nią, kiedy odmawiała dalszych kontaktów z Konarzewskim, zadenuncjował on ją do Gestapo i Mitznerowa zginęła z rąk niemieckich. Za ten haniebny czyn poniósł zasłużoną śmierć. Pracował także w „Czasie” wspomniany Tuhan-Baranowski, który przeniósł się potem do „Kurierza Porannego”. Natomiast referent spraw motoryzacyjnych w „Czasie” Bolesław Andrzejewski zginął w Lublinie od bomby niemieckiej w czasie wojny, a korespondent tego pisma w Hiszpanii Lucjan Rościszewski został zamordowany przez Gestapo. Zginął męczeńską śmiercią w Oświęcimiu również naczelny „Czasu” Jan Moszyński.

„Czas” pomimo wysokiej protekcji sfer arystokratycznych i ziemiańskich a także przemysłowych, pozostawał w nie kończących się nigdy trudnościach finansowych. Współpracownikom wypłacano należność w drobnych, nieraz kilkuzłotowych ratach.

W związku z obroną metropolity Sapiehy warszawski organ konserwatystów przez trzy kolejne dni był w całości konfiskowany i wskutek tego nie ukazywał się w sprzedaży. Z ramienia i na polecenie min. Kwiatkowskiego — pod pozorem jakichś formalności — zasekwestrowano w wydawnictwie dziennika maszyny i inne sprzęty redakcyjne. Po trzech dniach „Czas” ogłosił oświadczenie, wyrażając głębokie ubolewanie z powodu ukazania się artykułu na tle sprawy metropolity i stwierdzając, że stało się to pod nieobecność redaktora naczelnego J. Moszyńskiego. Redakcja zawiadamiała ponadto, że odpowiedzialny za artykuł rzecznik stronnictwa zachowawczego w redakcji, b. minister pełnomocny w Bukareszcie Józef Wielowieyski, został odsunięty od współpracy w piśmie, a na jego miejsce powołano Franciszka Potockiego z krakowskiej grupy stronnictwa pozostającej pod kierunkiem prof. Estreichera. Może warto dodać, że — odmiennie niż „Czas” — drugie pismo konserwatywne wileńskie, „Słowo”, piórem Aleksandra Bocheńskiego ostro Sapiechę potępiło. Właściwym autorem artykułu w „Czasie” był Stanisław Wyrobisz, któremu cały ten incydent uszedł na sucho, podobnie zresztą jak Wielowieyskiemu, którego dymisja była tylko chwilowa i pozorna. Zatarg z Sapiehą ciągnął się przez trzy tygodnie, po czym 14 lipca metropolita wystosował do Prezydenta list, w którym pisał: „Skoro stało się faktem publicznym, że to moje stanowisko było tłumaczone jako obraza osoby i autorytetu Pana Prezydenta oraz dowiedziawszy się, że Pan Prezydent czuje się dotknięty, boleję nad tym jako biskup i obywatel i poczuwam się do obowiązku oświadczenia i zapewnienia dostojnego Pana Prezydenta o mym należnym i niezmiennym oddaniu”. Trumna Piłsudskiego spoczęła ostatecznie w krypcie pod wieżą Srebrnych Dzwonów po zbudowaniu tam sarkofagu.

Na łamach „Kuriera” przez cały czas zatargu podtrzymywaliśmy stanowczą postawę wobec księcia metropolity, nadając tej sprawie charakter konfliktu o zasadniczym znaczeniu politycznym i domagając się pełnej satysfakcji dla czynnika państwowego. Pisałem w tych dniach m. in.: „Komunikat urzędowy kancelarii Prezydenta Rzeczypospolitej ustala fakt nowego niesłychanego zuchwalstwa metropolity krakowskiego, który zaślepiony pychą i zarozumiałością brnie dalej na drodze warcholstwa i buntu. Biskup, buntujący się przeciw władzy państwowej, kpiący sobie z urzędowych duchownych organów watykańskich, nie jest godzien piastować stanowiska, na które został swego czasu powołany”.